

Wypełnić białe plamy historii

W świecie, gdzie historia pisana jest głównie męską ręką, pojawiają się osoby, które chcą oddać głos kobiecej przeszłości, przywracając pamięć o zapomnianych bohaterkach. Jedną z nich, herstoryczek, jest Agnieszka Słupianek-Winkowska z Kajewa - regionalistka, pasjonatka historii, wykładowczyni, pisarka i członkini Klubu Kobiet Ławka Nr 4.

Agnieszka Słupianek-Winkowska jest autorką książek („Dzieje miejscowości Brzezie w świetle źródeł”, „Kajew, Cieśle, Wszolów - szlakiem dziejów”) i artykułów dotyczących historii ziemi pleszewskiej. Na Facebooku prowadzi profil „Krawczyńni historii”, na którym przypomina sylwetki kobiet w przeszłości aktywnie działających na terenie powiatu pleszewskiego i nie tylko.

Spotykam się z Agnieszką Słupianek-Winkowską w przerwie między jej licznymi zobowiązaniami badawczymi i edukacyjnymi. Wyłożenie na stół dyktafonu, prowokuje pytanie, jak jego włączenie wpłynie na naszą rozmowę.

Agnieszka Słupianek-Winkowska: ...gdy przeprowadzam badania wśród mieszkańców, najpierw zawsze jest rozmowa zapoznawcza, często telefoniczna. Ona zazwyczaj dużo wnosi, dlatego też trzeba jej przebieg możliwie szybko odtworzyć, gdzieś te informacje jak najskrupulatniej zapisać.

A podczas spotkania i wywiadu luz znika, bo odpowiadający wchodzi w rolę respondenta?

Dotyka pan kwestii, która prowadzi do fundamentalnego pytania – jak badać? Najważniejsze w badaniach jest to, żeby uzyskać jak najwięcej informacji i żeby one były odpowiednio zapisane. Badania terenowe są bardzo trudne, a dziedzina jaką jest historia mówiona, cały czas raczkuje. Dopiero w ubiegłym roku wyszedł pierwszy polski podręcznik do historii mówionej pod redakcją Marcina Jarzabka. A więc naukowcy dopiero zaczynają precyzyjną naukę.

Pani też cały czas się uczy?

Tak. Zupełnie inaczej to wszystko wyglądało na początku, gdy zaczynałam swoją przygodę jako regionalistka. Z jednej strony było bardzo trudno. Historyk bazuje głównie na źródłach, które są odpowiednio katalogowane i przechowywane w archiwach - czy to państwowych, czy kościelnych. Natomiast w przypadku badań dotyczących poszczególnych miejscowości, takim dopełnieniem kwerend archiwalnych zawsze są badania terenowe, czyli właśnie wywiady z mieszkańcami. Tutaj może pojawić się obawa, czy oni będą chcieli podzielić się informacjami, swoimi wspomnieniami, a przede wszystkim pozostałościami po przodkach, które mają w swoich zbiorach rodzinnych. Nie we wszystkich domach oczywiście znajdziemy taki pakiet, jak szkatułka czy pudełeczko ze zdjęciami, ale wiele skarbów może kryć się też na strychu czy w piwnicy. Mogą być to na przykład fotografie, które do tej pory nie były

dostępne, a teraz mają szansę przysłużyć się badaniu i ujrzeć światło dzienne. Ważne jest oczywiście, żeby taką fotografię odpowiednio podpisać, a więc oznaczyć z czyich zbiorów ona pochodzi. Trzeba mieć na uwadze przyszłych historyków czy osoby, które będą po nas badały dany aspekt. Należy zostawić informację, gdzie mają udać się do źródła.

Z mojego doświadczenia dziennikarskiego wynika, że ludzie lubią dzielić się historiami swoimi czy swoich rodzin. Często robią to mimowolnie. Jak to wygląda z perspektywy badaczki?

To zależy. Jeżeli jest to rozmowa z osobą napotkaną na przykład na spacerze, to zwykle przybiera ona luźną formę i wówczas interlokutor rzeczywiście chętnie dzieli się wspomnieniami. Inaczej jest w przypadku badań terenowych, które mają sprecyzowany cel. Wówczas umawiam się z kimś, informując, że przeprowadzam takie badanie, a jego efektem będzie publikacja. Rozmówca wtedy bardziej zwraca uwagę na to, co mówi, bo wie, że jego słowa zostaną zapisane.

Ja jednak jak do tej pory zawsze spotykałam się z pozytywnym odzewem na moje zapytania. Przy pierwszych pracach miałam ułatwiony dostęp do ludzi. Brzezie, o którym napisałam swoją pierwszą publikację książkową, to moja rodzinna miejscowość, a w takiej małej społeczności wszyscy się znają. Nie miałam problemu z pójściem do kogoś do domu i poproszeniem o informacje. W przypadku Kajewa też nie było to takie trudne, dlatego że stałam się wtedy mieszkanką tej miejscowości. Przy pierwszych wywiadach towarzyszył mi mój mąż, który stamtąd pochodzi. Jest o wiele trudniej, kiedy się idzie z marszu, do kogoś, kogo się nie zna. Nawet jeśli posiada się dokument z uczelni czy samorządu, że pracuje się nad publikacją. Dlatego, kiedy rozszerzyłam swoje pole badań do historii kobiet ziemi pleszewskiej, zależało mi na rozpromowaniu tego wątku wśród mieszkańców. Po to, żeby ludzie chętniej dzielili się informacjami, wiedzieli, że jest osoba, która zajmuje się takim tematem i chce zrobić z ich archiwaliów dobry użytek.

Ukończyła pani ochronę dóbr kultury oraz historię. Kiedy w ogóle zaczęło się pani zamięłowanie do tego kierunku?

O historii od zawsze mówiło się w moim domu i to rodzice rozbudzili we mnie tę miłość - tata do historii Polski, a mama regionu. Historia w szkole była moim konikiem. Muszę podkreślić, że trafiałam na wszystkich etapach edukacji na świetne nauczycielki tego przedmiotu. Idąc do liceum im. Adama Asnyka w Kaliszu wybrałam profil humanistyczny z rozszerzoną historią. Kiedy pisałam maturę, wiedziałam, że będę chciała dostać się na historię.

Sam regionalizm pojawił się dopiero na studiach. Pracę licencjacką pisałam na temat starożytności, którą bardzo lubiłam. Mój temat dotyczył mitów, Demeter i Kory oraz obrzędów im poświęconych. Gdy opowiadałam o nim ówczesnemu proboszczowi parafii w Brzeziu, księdzu Markowi Kulawinkowi, zapytał czemu właściwie zajmuję się starożytnością, a nie dziejami swojej miejscowości. Wtrącił, że o samym kościele jest wiele materiałów – w miejscowej plebanii, ale też w archiwum w Gnieźnie. Sam był pasjonatem historii i to on zaszczerpił we mnie tę myśl, która wykiełkowała - żeby zająć się spisaniem losów swojej małej „ojczyzny”. Historia Brzezia, od której się zaczęło, stała się tematem mojej pracy magisterskiej.

Coś zaskoczyło panią szczególnie, jeśli chodzi o odkrywane dzieje?

Trudniejszą pracę miałam do wykonania, gdy poznawałam historię Kajewa, bo dysponowałam o wiele mniejszym materiałem źródłowym. Zaczynając badania, dowiedziałam się, że w miejscowości był kościół. Obecnie nie ma po nim żadnych śladów materialnych. A jednak przetrwał on w świadomości mieszkańców. Praktycznie w każdym domu wiedziano, że istniał, chociaż według dokumentów przechowywanych w archiwum diecezjalnym we Włocławku, nie ma go co najmniej od 1600 roku. Informacja o nim była pielęgnowana w przekazach ustnych. Fascynujące było dla mnie to, że mogłam opisać coś, co nie zostało do tej pory opisane. Nie zachowały się żadne ryciny, plany, rzuty, mapy. Zgodnie z dokumentami pisanymi parafia kajewska pod wezwaniem Świętej Katarzyny do 1623 r. była oddzielną parafią, a miejscowość należała do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Podobną pracę musiałam wykonać jeśli chodzi o opis, dworu, który - tak jak w innych miejscowościach - istniał również w Kajewie.

Ważnym momentem było nawiązanie kontaktu z potomkinią rodu Sokolnickich, panią Heleną Łopińską, która udostępniła mi materiał rodzinny. Opowiedziała też, co się działo z przedstawicielami rodu w trakcie wojny i po wojnie. Równie istotny był dla mnie kontakt z panem Evertem von Renteln, którego przodkowie administrowali Wszółowem w czasie II wojny światowej. On sam próbował rozmawiać z miejscowymi i poznać historię swojej rodziny. Otrzymałam od niego m.in. listę z imionami, nazwiskami i datami urodzenia pracowników we Wszółowie z 1942 i 1944 roku. Dzięki tym informacjom mogłam spojrzeć na historię tej wioski z innej strony. Czasami zaczyna się od obaw, że nie będzie miało się co napisać w książce, a kończy na kilkuset stronach zapisków i podaniach z wielu źródeł.

Skrupulatną pracę wykonuje pani również, jeśli chodzi o przypominanie - a może bardziej odkrywanie - sylwetek kobiet, które zamieszkiwały powiat pleszewski. Zajmuje się pani herstorią (z ang. *herstory*, od *her* - jej + *story* - historia). Co to pojęcie właściwie oznacza?

To termin, który budzi emocje, również tu w powiecie pleszewskim. Szczególnie na początku, kiedy jako Klub Kobiet Ławka Nr 4 zaczęłyśmy go używać na pierwszych plakatach promujących nasze wydarzenia. Niektórzy zwracali nam uwagę, że nie ma takiego słowa, zrobiłyśmy literówkę. Myślę, że teraz określenie to już przyjęło się, zadomowiło.

Herstoria to odkrywanie historii naszych przodkiń i ich upamiętnianie. Żyjemy w czasach, kiedy losy kobiet wydobywa się z mroków dziejów. Niegdyś o nich nie pisano, ja sama przez pięć lat moich studiów o kobietach uczyłam się bardzo mało. O ile badania naukowe może prowadzić tylko historyczka, mająca ku temu warsztat, o tyle herstorią może zajmować się każdy. Ukazuje się teraz mnóstwo publikacji na temat kobiet, których autorkami są nie tylko naukowczynie, bo również na przykład dziennikarki. Kolejnym aspektem składającym się na herstorię jest upamiętnianie, wszelkie narracje muzealne. To wszystko ma na celu zmianę mentalności, próbę przywrócenia świadomości o kobietach społeczeństwu.

Herstorki wykonują pracę, której nie wykonały poprzednie pokolenia.

I mówimy o tych bohaterkach po coś. Nasze działania mają mieć funkcje wzmacniające dla dziewczynek. Opowiem o swojej perspektywie: mało jest kobiet naukowczyń. Bardzo dużo pań studiuje, jeśli chodzi zaś o doktorki, te procenty się zwiększają na korzyść mężczyzn. Jeszcze bardziej, gdy mówimy o środowisku profesorskim. Kiedyś przeprowadzono ciekawe badania metodą Chambersa na grupie dzieci. Polecenie brzmiało: narysuj naukowca.

Większość osób narysowała mężczyznę w tej roli, w tym ponad 60 proc. dziewczynek. Co się wydarzyło, gdy poproszono, by narysować osobę zajmującą się nauką? Blisko 70 proc. dziewczyn narysowało kobietę. Prawdopodobnie łatwiej było im poczuć, że „to mogę być też ja”. To jakich słów używamy, działa na naszą wyobraźnię. Dlatego też głośno mówię o pozytywnym znaczeniu feminatywów.

Granice mojego języka są granicami mojego świata – pisał Ludwig Wittgenstein.

Dokładnie tak. Język odzwierciedla rzeczywistość i nasze działania też mają na celu inspirować, dodawać odwagi. Pokazujemy, że przed nami były kobiety, które przecierały szlaki, pokonywały wiele barier i trudności. Jak chociażby księżna Anna Pleszewska, właścicielka Pleszewa, kobieta sprawcza i przedsiębiorcza. W tym roku dużo mówimy o pochodzącej z Kowalewa Dorze Mukułowskiej, reprezentantce pierwszego pokolenia wykształconych malarek - co prawda za granicą, bo Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie do 1917 roku była szczelnie zamknięta przed kobietami. Dora działała w poznańskim oddziale Związku Artystów Malarzy i Rzeźbiarzy Polskich, a jej prace pokazywano na całym świecie. Była również zaangażowana w Powstanie Wielkopolskie. Razem z Izabelą Drwęcką i Wandą Ossowicką współtworzyła „Ognisko dla Żołnierzy Polskich” w Poznaniu, odpowiadała za pocztę polową i szpitalnictwo PCK. Wcześniej nauczała w tajnej szkole polskiej, która się mieściła przy kościele Matki Boskiej Bolesnej na poznańskim Łazarzu.

Często, gdy w ramach badań terenowych odwiedza pani domy w powiecie pleszewskim, natrafia na inspirujące historie kobiet?

Tak, choć z badawczego punktu widzenia praca nad historiami pań jest bardzo trudna. Kobiety pozostawiły po sobie znacznie mniej materialnych śladów niż mężczyźni. Jeśli zachowały się wspomnienia, co zawsze bardzo mnie cieszy, są one zazwyczaj krótkie - często to zaledwie kilka stron, a nie obszernie relacje. Mimo to nawet takie fragmenty są niezwykle cenne. Przykładem może być pleszewianka Maria Radomska z domu Bocińska, która pozostawiła wspomnienia zarówno ze strajku szkolnego, jak i z Powstania Wielkopolskiego. Dzięki nim możemy spojrzeć na te wydarzenia z perspektywy kobiety - uczestniczki historii, a nie jedynie jej obserwatorce.

Badanie historii kobiet polega więc na pracy ze „skrawkami”. Nierzadko muszę przejrzeć całe sterty materiałów archiwalnych, aby znaleźć jedno zdanie, z pojedynczych fragmentów próbuję stworzyć syntezę i zrekonstruować możliwie pełny obraz przeszłości. To właśnie stanowi największe wyzwanie w tej pracy. I dlatego tak ważne są badania terenowe. Często jedyne informacje o tych kobietach można uzyskać od ich rodzin. Sytuacja staje się jeszcze trudniejsza, gdy badane osoby nie miały bliskich - co zdarzało się często wśród kobiet aktywnych społecznie czy politycznie, które nierzadko pozostawały pannami. W takich okolicznościach nie było nikogo, kto zadbałby o ich spuściznę. Zdarzają się jednak wyjątki. W przypadku Stefanii Beretówny, kierowniczkę Szkoły Żeńskiej im. Królowej Jadwigi w Pleszewie przed II wojną światową, udało się pozyskać cenny materiał źródłowy od osób niespokrewnionych, które stały się niejako spadkobiercami jej biografii - między innymi życiorysu spisanego przez samą Stefanię. Zdobyłam go dzięki kontaktowi z panią Renatą Gabrusiewicz i Wiesławem Dymkiem. Pani Gabrusiewicz odczytała napisaną przeze mnie karteczkę z prośbą o kontakt, którą przed świętami Wszystkich Świętych zostawiłam na

grobie Stefanii. To pokazuje, że mimo licznych trudności, takie badania potrafią przynieść bardzo wartościowe rezultaty.

Uznanie czytelników zdobyły w ostatnich latach książki takie jak „Chłopki. Opowieść o naszych babkach” Joanny Kuciel-Frydryszak czy „Przepraszam za brzydkie pismo” Antoniny Tosiek, w których przywoływane są m.in. traumatyczne wspomnienia kobiet wiejskich. Pani też, gdy prowadzi badania terenowe, zdarza się zbierać tak trudne historie?

Tak i nie dotyczy to wyłącznie kobiet. Takie historie to niełatwe zagadnienie dla badacza. Zdarza się, że rozmówczynie i rozmówcy decydują się je opowiedzieć, ale potem nie chcą, aby zostały opublikowane. Wspomnienia trudne, niewygodne, głęboko osobiste - każdorazowo wymagają dużej uważności oraz odpowiedzialności badawczej. Wciąż się uczymy, jak o nich pisać, na ile można je ujawniać i w jaki sposób je przekazywać dalej, by nikogo nie skrzywdzić.

Niedawno, podczas cyklu prelekcji realizowanych wspólnie z Patrycją Walerowicz-Wojtkowiak, poświęconych cichym bohaterkom II wojny światowej, poruszyliśmy temat dziedziczenia traum wojennych, gwałtów czy aborcji przeprowadzanych w gettach. To zagadnienia niezwykle trudne, wciąż obciążone milczeniem i tabu, również w narracji historycznej. Dobrym przykładem przełamania tego milczenia jest książka „Kobiety '44: prawdziwe historie kobiet w powstańczej Warszawie” Agnieszki Cudały, w której jeden z rozdziałów poświęcony jest doświadczeniu gwałtów. Te osobiste tragedie były po wojnie najczęściej wypierane i przemilczane. Kobiety często nie mówiły o nich, próbując zapomnieć. Towarzyszył temu wstyd, ale także silna presja społeczna - słyszały: „zapomnij”, „nie wracaj do tego”, „trzeba żyć dalej”. W efekcie wiele z nich nosiło te doświadczenia w sobie przez całe życie. I dziś pozostaje pytanie: na ile możemy o tym pisać? Najczęściej jedyną możliwą formą jest anonimowość i ogromna ostrożność w doborze słów.

A jak jest z feminizmem? To pojęcie, które w małych miejscowościach wciąż złowrogo pobrzmiwa?

Myślę, że określenie, że ktoś jest feministką, cały czas budzi na naszym obszarze – i pewnie nie tylko tutaj - duże emocje i jest odbierane często negatywnie.

Dlaczego?

Feministki bardzo często kojarzone są stereotypowo z agresją, buntem i walką, a to budzi społeczny opór. Zwróćmy uwagę, że sam ruch feministyczny zmieniał się na przestrzeni wieków. Ponadto, feminizm nie jest jednorodny - każdy może rozumieć go inaczej, każdy może się zaangażować w różny sposób. Wspólnym mianownikiem jest równość, sprawiedliwość, przełamywanie barier.

Z własnej perspektywy dziś już mam odwagę, by powiedzieć, że jestem feministką. Nie oznacza to jednak, że przeprowadzę tu wojnę i stoczę nieskończoną liczbę bitew w zemście za całe zło, które kobiety spotkało. Kto mnie zna, ten wie, że nie ma we mnie agresji. Jest za to cały pakiet cierpliwości i radości życia. Jest pewien rodzaj buntu za niesprawiedliwość dziejową, której mam dużą świadomość, a z tego buntu - ale w pozytywnym tego słowa znaczeniu - narodziła się chęć zmiany, przede wszystkim zmiany mentalności. To

skomplikowany proces emancypacji, który cały czas przechodzę. Dlatego też bardzo lubię określenie „emancypantka”. Działam w obszarze historii, której przecież nie zmienię - nie mam takiej mocy - ale mogę ją uzupełnić - wypełnić luki, białe plamy, które przez lata pozostawały niezauważone - i skorygować.

Podobnie jest z określeniem herstoria. Historia jako termin została oczywiście ukształtowana przez Herodota i nikt tego nie podważa. Jednak przez wieki narracja historyczna była silnie androcentryczna, tworzona niemal wyłącznie z męskiej perspektywy. Pojęcie herstorii - powstałe jako gra słów - ma zwrócić uwagę na potrzebę zmiany perspektywy i uwzględnienia kobiecej narracji jako równoważnej. W pewnym momencie zaczęłam zastanawiać się kim bardziej jestem - historyczką czy herstoryczką. Rozważałam też czy historyczka może zajmować się herstorią. Do jakich wniosków doszłam? Oczywiście, że może. Najważniejsze jest to, by umieć to odróżnić i mieć świadomość, zarówno korzyści, ale też barier, jakie niesie ze sobą herstoria. To też pewien proces edukacji z zakresu metodologii historii, który musiałam przejść, by wiele kwestii zrozumieć. Nie chciałam się identyfikować przez wybór jednej konkretnej roli, która mnie zdefiniuje, przecież to moja droga. Jest w niej miejsce i czas również na herstorię. A może fakt, że coraz więcej historyczek zajmuje się herstorią, jest nadzieją dla procesu badawczego w zakresie szeroko rozumianej historii kobiet. W jakim celu byłyby prowadzone badania naukowe, gdyby nie miały też wymiaru edukacyjnego? Żeby mogła zadziać się zmiana, istnieje ogromna potrzeba społecznego działania. Dlatego też w moim przekonaniu taką furtkę do świata równoważnej narracji historycznej stanowi herstoria. Osobiście traktuję ją jako narzędzie. Może jeszcze dalekie od doskonałości, ale z pewnością kluczowe i potrzebne. Szczególnie obecnie, gdy nurt herstoryczny coraz intensywniej pączkuje i otwiera nowe rozdziały w kronikach lokalnych dziejów. Łącząc obydwie role - historyczki i herstoryczki - wykreowałam własny wizerunek – krawczyni historii, która ze skrawków różnych materiałów zszywa dzieje naszych małych ojczyzn. Na badanych szlakach historycznych próbuje odnaleźć te najbardziej zapomniane biografie, szczególnie kobiece.

Jakie ma pani plany na przyszłość?

Planów mam bardzo dużo - czasem nawet zastanawiam się, czy wystarczy mi na nie życia (śmiech). Ale podobno to dobry znak, kiedy realizując jeden cel, już myśli się o kolejnym. Obecnie jestem w trakcie pisania pracy doktorskiej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, pod kierunkiem profesora Michała Jarneckiego. To proces długotrwały, ale bardzo ważny. Praca dotyczy kobiet aktywnych na ziemi pleszewskiej w latach 1900–1939. Równolegle kontynuuję i planuję intensyfikację badań terenowych. W przyszłym roku chciałabym skupić się na Gołuchowie i okolicach Przekupowa. Będzie to jedna z ostatnich publikacji uzupełniających mozaikę badań dotyczących gminy Gołuchów. Projekt realizowany jest na zlecenie samorządu gminy Gołuchów oraz Gołuchowskiego Centrum Kultury „Zamek”.

A jeśli chodzi o Klub Kobiet Ławka Nr 4? Sylwetkę której pani, chcecie przybliżyć mieszkańcom jako kolejną?

W przyszłym roku chciałybyśmy przywołać postać Marii Radomskiej z domu Bociańskiej. Powodem jest zbliżająca się okrągła rocznica założenia przez nią drużyny skautowej w Pleszewie. Było to 16 lipca 1916 roku i była to druga drużyna skautowa w Wielkopolsce,

zaraz po poznańskiej. Postać Marii Radomskiej zdecydowanie zasługuje na przypomnienie, bo daje ogromne możliwości opowiadania historii z różnych perspektyw. Była ona uczestniczką strajku szkolnego, brała udział w Powstaniu Wielkopolskim, pracowała jako bibliotekarka, działała w harcerstwie, angażowała się w proces odzyskiwania niepodległości, a także była jedną z pierwszych kobiet w Radzie Ludowej powiatu pleszewskiego. To bardzo wielowymiarowa bohaterka. Co więcej, wszystkie ważne rocznice związane z jej życiem przypadają w lipcu: urodziny, założenie drużyny skautowej i rocznica śmierci. To wszystko pięknie spina się w jednym czasie, wokół lipcowych obchodów imienin Anny. Dodatkowo niedawno udało mi się odkryć ciekawe powiązanie – Maria Radomska musiała znać Dorę Mukułowską. Obie działały w stowarzyszeniu Rodzina Weteranów, później znanym jako Rodzina Powstańców Wielkopolskich. Maria jeździła nawet do Poznania na zebrania zarządu, więc na pewno miały ze sobą styczność.